№ 31. Warszawa, dnia 20 Lipca (1 Sierpnia) 1874 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwaetalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 k. 50. Numer pojedynczy k. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera;—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 4. W KRAKNWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie Ulica Żabia Nr 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

LIST DRUGI Z CHICAGO

w Ameryce północnéj.

Z LIVERPOOLU DO NOWEGO YORKU.

przez

SYGURDA WIŚNIOWSKIEGO.

Prędzej jak spodziewaliście się kochany Redaktorze, odbieracie odemnie odezwę z Nowego świata. Zaledwie dwa upłynęło miesiące jak uścisnąłem po raz ostatni dłoń Waszą na ziemi Szwajcarskiej, i posłałem Wam obszerne sprawozdanie z mego pobytu w Anglii, dziś piszę ze stolicy handlowej zachodnich Stanów amerykańskich, z owego *Chicago*, które niby fenix nowy powstało, że tak powiem w mgnieniu oka z pośród gruzów i perzyny w jakie je pogrążył pożar nieznanej dotąd w dziejach świata wielkości.

Ten pośpiech mój w podróżowaniu i pisaniu dowiedzie Wam, iż choć minęła pierwsza ma młodość i energija, choć ciało może mniej już zdolne do trudów dalekich podróży a duch mniej pochopny do szukania przygód, lecz przyzwyczajenie nabyte długiemi włóczęgami pozwala mi jeszcze poruszać się szybko po świecie.

Piszę z Chicago grodu do którego gromadzą się corocznie tysiące cudzoziemców. Miasto rosnące jak grzyb po deszczu, przedsiebiorcze jak niewiele w Ameryce, zabudowuje się jakby za pomocą lampy Alladyna w niesłychanie krótkim czasie. Tu wyrobnik znajduje pracę, rolnik dobrą i tanią ziemię, mały kapitalista pole do założenia drobnego handlu, zamożniejszy do obszernych spekulacyi.

W tej stolicy lub niezbyt od niej daleko pewno i ja zostanę. Widok tych tłumów mówiących różnemi językami, a przecież wesołych i zgodnych, nęci mnie i przywiązuje. Tu mogę codziennie poznawać wszystkie warstwy amerykańskiego społeczeństwa bogatego, aż do ubogiego Yanesa pracującego w pocie czoła by uciułać sto dolarów na opłacenie kosztów, sprowadzenie do siebie żony i dzietwy, pozostałych gdzieś daleko.

Każdy tu goni za mieniem, wielu osiąga cel swej gonitwy, i mnie ogarnie może z czasem ta gorączka *businesowa*, czyli chętka robienia pieniędy. W każdym razie, niby barka po zmudnej podróży morskiej, potrzebuję dłuższego spoczynku w przystani wygodnej, a ze wszystkich miast znanych mi, Chicago najbardziej wygląda jako przyjemna przystań dla wędrownika. Tu zewszystkiemi narodowościami świata żyć mogę lub też zamknąć li w kółku własnem.

Pomimo jednak iż myślę zostać w Chicago przez czas dłuższy i na zawsze może, nie myślcie kochany Redaktorze by podróże moje były już ukończone. Prędzej czy później będę musiał odwiedzieć Europę a na ten cel wybiorę inną drogę jak przez Atlantyk. Japonija, Chiny, Indje i Egipt nieznane mi dotąd mają dla mnie urok nieopisany. Kiedyś więc tą drogą do Was znów zawitam i będę mógł powtórzyć z naocznego przekonania, jakto wygląda ten Wschód czarodziejski.

O nawet mieszkając w Chicago lub w Zachodnich Stanach Ameryki, niejedną pewno zrobię wycieczkę to pomiędzy bory Kanady, to po wodach wielkich jeziór leżących na północ od nas, to do prairies (stepów) i pomiędzy góry skaliste (Rocky mountains) na Zachodzie. Tam poznam i owych pionierów amerykańskich, przednie czaty cywilizacji, dążących z motyką i siekierą w ręku na zachód, by karczować dziewicze obszary i z łona wzgórz ledwie znanych, dobywać obfite plony kruszców. Poznam może i owe dziwne społeczeństwo Mormonów i owych dzieci przyrody, czerwonych Indjan, znikających zwolna lecz nieohybnie wskutek ścierania się z naszą potężniejszą rasą. Co spotkam, obejrzę dokładnie i opiszę prawdziwie. Długie me i dobrowolne pożycie pomiędzy obcymi narodami stojącymi na rozmaitych stopniach cywilizacji, to z przebiegłym Anglikiem lub ogładzonym Francuzem, to znów z chytrym Chińczykiem i zbydlęconym murzynem lub Kanaką, pozbawiło mnie przyzwyczajenia mieszkańców Europy do patrzenia na wszystko co nowe i dziwne okiem podejrzliwem. Tego zwykłego błędu podróżnych powinienbym uniknąć, ja obywatel przybrany Nowego świata i ostrzelany z jego dziwactwami. Lecz tu jestem i spełniam zlecenie Wasze by pisać o Ameryce i pisać prawdę. — Dam ją szczerą, otwartą, a choć czasem przyganie Amerykanom, choć ich drasnę i ukolę, przyznać jednak muszę, że ich lubię jako miłych i uczynnych dla wszystkich co chcą pracować i żyć uczciwie. Pan Horyan nasz weteran literacki mieszkający tu za paszportem emigracyjnym od lat kilku, i chociaż z powodu ciężkiej niemocy jaką go Bóg nawiedził, nie mogący pracować jakby pragnął, nie może się dość nachwalić dobrych chęci Amerykanów z jakiemi pomagają każdemu zgłaszającemu się do nich o pomoc, radę lub wskazówkę.

A teraz przystępuję do faktów.

O sobie samym mało mam do doniesienia, wiele jednak o tem co widziałem.

Sygurd Wiśniowski już nie ten sam młody włóczęga, zamiłowany w towarzystwie górników, żeglarzy i dzikich Maurów lub Papuanów nie ten skłonny do burd awanturnik jak dawniej. Wiek każe mu się usuwać od przygód pachnących niebezpieczeństwem, przestać być aktorem i zadawalniać się rolą widza.

A przecież gdy wstąpiłem na pokład okrętu wiozącego mnie z Liverpolu do Ameryki, gdy fale zaszumiały do koła, wiatr świsnął w sieci powrozów i statek zadrżał od obrotów śruby i tętnienia parowych walców, gdy to dziwne powietrze morskie, którego woń lepka i wilgotna znana Wam li z opisów, napełniło pierś mą, zapomniałem na chwilę iż czas do zachwycania się minął, gdy skroń już srebrzeje. Patrząc na tłum wychodźców zalegający pokład okrętu, różnojęzyczny i pstro ubrany, spoglądający niechętnie ku opuszczanej ziemi i wytężający oko na zachód, uczu-

łem na chwilę ową chętkę ku awanturom, jaka ongi zapalała młodzieńca jadącego z tłumem górników do Nowej Zelandji lub Queenslandu. Na szczęście Ameryka to nie Fidzi ani Nowa Gwinea, tu nietrzeba wiecznie nadstawiać karku, burdy codziennie nie włażą w drogę, ludzie żyją spokojnie w porządnych domach, nie wciągłej zwadzie i w namiotach. Zanim zapał chwilowy tak się rozbudzi by mnie znów nakłonił do życia w puszczach lub w gronie awanturników, przygaszą go przykłady konieczności codziennego życia i przykłady współobywateli spokojnych i goniących za zyskiem z zajęć prozaicznych i codziennych.

* * *

W ostatnim liście wysłanym z Liverpola doniosłem Wam, iż wybrałem się do Nowego-Yorku na statku Minnesota, jednym z owych nowożytnych parowców podobniejszym do pływającego hotelu niż do okrętu. Byłem podróżnym drugiej klasy czyli jak Anglicy zowią *intermediate*. Nie nader to miły sposób podróżowania, gdyż nietylko musiałem się cisnąć z trzema innemi panami w małej kabinie zbudowanej tuż obok maszyny i mającej 8 stóp długości i tyleż szerokości, lecz jeszcze i wstęp do stanu okrętowego, wyłącznie dla podróżnych pierwszej klasy przeznaczonego i na tak zwaną *pupę* czyli tylną część pokładu, był mi wzbroniony. Gdy jednak stół nasz był wcale dobry i o wiele wykwintniejszy jak nam przyrzeczono w drukowanym kontrakcie, doręczonym w Anglji, gdy tu mieliśmy towarzystwo dość wesołe, bo złożone z młodych panów i pań, niemógłbym wcale narzekać na Minosotę, gdyby nie jedna okoliczność.

W trzeciej klasie naszego statku a więc pomiędzy drugim i trzecim pomostem (pierwszą i drugą klasę umieszczają bowiem pomiędzy wyższemi pomostami), płynęło jakie 600 wychodźców rozmaitych narodowości. Kto zna podział wielkich statków, wie dobrze iż wychodźców takich dzielą na trzy części i w trzech osobnych umieszczają salach. W przedniej śpią mężczyzni nie żonaci, w środkowej małżeństwa, w tylnej dziewczęta.

Sale te wyglądają jednako. Po prawej i lewej ich stronie ciągną się szeregi łóżek mających 2 stopy szerokości a 6 długości. Cztery takie łóżka przytykają jedno do drugiego całą długością, tak iż śpiący przy ścianie musi przełazić przez trzy łóżka by się dostać do swego posłania.

Oczywiście iż dla oszczędzenia miejsca, trzy piętra takich łóżek wznoszą się jedno nad drugiem. Wprzestrzeni mającej 8 stóp szerokości, 6 długości i 8 wysokości śpi więc osób 12. W taki to sposób nie zbyt spory okręt pomieści z łatwością i 1000 wychodźców. Nasza Minesota często mieściła ich 2000, tym razem miała tylko 600.

W odstępie pomiędzy szeregami łóżek przecinających środek sali, umieszczono stół długi i wąski z tarcic nie malowanych. Wązkie twarde ławy biegną po każdej jego stronie. Stół ten i ławy nie mogłyby pomieścić na raz więcej jak trzecią część mieszkańców sali, ztąd też dzielą ich na kilka oddziałów zasiadających kolejno do śniadania, obiadu i wieczerzy. Gdy jedni jedzą inni lub w łóżkach leżyć muszą, lub siedzieć na pokładzie okrętu.

Takowe urządzenie w *steerage* (czyli stiradz) czyli 3-ciej klasie, zapobiega ściskowi w salach. Właściciele statku utrzymują służących płci męzkiej do obsługi mężczyzn, kobietę zaś do zajmowania się dziewczętami. Lampy gęsto rozwieszone oświetlają każdą salę, pokarm choć prosty lecz obfity, zadawalnia zwykle wychodźców nie przyzwyczajonych w Europie do nader wykwintnej kuchni.

Składa on się z kawy, chleba i mięsa na śniadania, zupy, mięsa i ziemniaków na obiad i herbaty z mięsem na wieczerzę. Chłopi i wyrobnicy niemieccy lub włoscy, tworzący znaczną część podróżnych trzeciej klasy, pewno pierwszy raz w życiu dostali się do takiej obfitości, nawet wyrobnicy francuzcy których ze sto wynosiło się do Ameryki, na naszym statku, chociaż wybredniejsi nie mogli utyskiwać na podawaną im strawę.

Zdawałoby się czytelnikowi iż przy takim rozdziale i karmieniu gromady wychodźców i przy surowej karności morskiej panującej na statku, podróżni innych klas nie mogą doznawać żadnej nieprzyjemności z ich strony. Pożycie kilko-dniowe na Minesocie wnetby jednak zmieniło jego zdanie.

Pierwsza nieprzyjemność spotkałaby go w Liverpolu. Prawa amerykańskie zastrzegają nader stanowczo by nieprzywożono z Europy do Nowego Świata kalek, ludzi złożonych ciężkiemi lub zaraźliwemi chorobami, niewiast bez mężów z dziećmi i starców. Ztąd też na godzinę przed odpłynięciem parowca, przybywa komisja rządowa na statek i ogląda wszystkich podróżnych bez różnicy. Tylko pasażerowie pierwszej klasy przedstawiają się lekarzowi w salonie, inni zaś muszą przechodzić przed nim kolejno na pokładzie. Nawet oficerowie i załoga statku podpadają tej inspekcji.

To przechodzenie w gęsim szeregu przed lekarzem i komisarzami, wcale niemoże przypaść do smaku ludziom wykształconym, jadącym do Stanów jak ja z ciekawości, lub jak moi towarzysze drugiej klasy w odwiedziny do krewnych i znajomych. Panienki mianowicie zraża badanie lekarza nietylko zadającego im pytania co do wieku i stanu zdrowia, lecz wymagającego aby odrzucały zasłony spadające z kapelusza, by patrząc im ostro w oczy, przekonać się czy prawdę powiadają. Rubaszny ten sposób publicznego badania, zupełnie nie odpowiada wymaganiom ukształconego społeczeństwa i mógłby być nader łatwo ulepszonym, gdyby obrano zamiast pokładu jaki inny zakąt statku na pomieszczenie komisji, wpuszczając tam podróżnych pojedynczo.

Po przejrzeniu wychodźców zabiera się komisja do obejrzenia zapasów żywności, przetrząsając beczki z sucharami i mąką, składy mięsiwa przechowanego w lodzie, lub solonego, jarzyn i cukru. Rząd angielski, najbardziej troskliwy pod tym względem ze wszystkich mi znanych, zapobiega w ten sposób nadużyciom dziejącym się w Hamburgu lub Bremenie, gdzie łakomi właściciele statków zaopatrują je częstokroć w stęchłą i niezdrową żywność. Karmieni taką strawą wychodźcy cierpią nadzwyczajnie na morzu; często wielu z nich choruje.

Na okrętach opuszczających angielskie porty, nietylko ilość i dobroć wywiezionej żywności podpada nader dokładnej inspekcyi ze strony zarządu portowego, ale nawet obszerność kuchni, ilość kucharzy i sprzętów kuchennych nie ujdzie bacznemu jego oku.

Po inspekcji rządowej następuje inna ze strony właścicieli statków. Wszyscy podróżni muszą oddać swe bilety przyjazdowe kupione w biórach na lądzie. Posiadających takowe wypraszają na górny pokład, niemających albo zmuszają do opłacenia kosztów przejazdu, lub też wysadzają na powrót na ląd. Jeden z oficerów i kilku majtków przeszukuje wszelkie łóżka i kryjówki okrętowe, ażali biedacy niemający pieniędzy nie pochowali się w nich, by w ten sposób przejechać się bezpłatnie do ziemi obiecanej.

Zwykle znajdą kilku i niemiłosiernie wypędzą ich ze statku. Często jednak uda się komuś skryć się przed okiem oficera a w takiem razie dopiero w dzień lub dwa po odjeździe wychodzi na pokład.

Nigdy jeszcze nie odbyłem dłuższej podróży morskiej, by majtkowie nie przemycili pomiędzy beczkami i pakami w magazynie jednej lub więcej osób. Kapitan choć wie dobrze o tem, nie może jednak dojść który z podwładnych pomógł do ukrycia niepotrzebnego gościa, i jak mówią Francuzi *fait bonne mine au mauvais jeu* posełając niepłacącego podróżnego do pracy, by choć w ten sposób wywdzięczył się za przejazd. Są jednak tak zawzięci kapitanowie, iż za przyjazdem do portu oddają grzesznika w ręce policji, by odpokutował za oszustwo w kilku tygodniowem więzieniem.

Wszystkie te wizyty są nader nieprzyjemne w dzień wyjazdu z Liverpolu. Od 9-tej z rana do 4 po południu przepędzają podróżnych z jednego końca pokładu na drugi lub z sypialni na pokład i napowrót, licząc ich i oglądając niby owce na targ wiezione. Dopiero na godzinę przed wyjazdem pozwalają znużonym i zgłodzonym zająć swe łóżka, rozpakować zawiniątka i zapraszają ich do obiadu.

Inna teraz spotyka ich i wcale niemiła niespodzianka. Majtkowie zabierają kufry podróżnych i spuszczają je do magazynu okrętowego, tak że przez cały czas przejazdu świeżej bielizny, ni sukni z nich niewydostaną. Kto jak ja odbywał podróże w okrętach australskich, w których kuferek mój zawsze mógłem we własnej trzymać kobinie, ten niespodziewając się iż mu zabiorą rzeczy w Liverpolu, nie zaopatruje się w zmianę bielizny nie zamkniętą w kufrze. Gdyby nie grzeczność jednego z mych współpodróżnych, musiałbymbył przez dni 13 w jednej chodzić koszuli.

Po ukończeniu wszystkich formalności przybywa wreszcie pilot nasz na statek i odbierając komendę od kapitana, wydaje rozkazy. Po pokładzie rozlega się stąpanie majtków, para świszcze z piszczałki, łańcuchy zgrzytają. Nie ręce ludzkie jak na żaglowych statkach, lecz siła maszyny podnosi z morza kotwicę i w dziesięć minut po przybyciu sternika ostra pierś Minesoty przecina gładką powierzchnię rzeki Mersey.

W pół godziny mijamy baterje i latarnie morskie po obu stronach jej ujścia i poczynamy czuć kołysanie nieodłączone od podróży na otwartem morzu.

Cieśnina Ś-tego Jerzego czyli Irlandzka, po której płyniemy, równie burzliwa i prawie wiecznie skłócona jak kanał La Mauche. Jak tam tak i tu fale morskie nietworzą zaokrąglonych pagórków i głębokich koryt, lecz w kształcie piramid wyrywają się z toni gwałtownie i szybko w nie na powrót zapadają. Ztąd też statek nasz nie kołysze się ruchem regularnym, lecz to podskakuje niby piłka w górę, to spada gwałtownie. Podróżni doznają rodzaju krótkich i przerywanych wstrząśnień, w pięć minut po pierwszem ich doznaniu wpadają w morską chorobę.

Drzwi naszej kabiny wychodzą niestety na rodzaj sali pomiędzy wyższym i średnim pokładem, zkąd zbiegają wschody do pomieszkań trzeciej klasy. Dla braku światła i zaduchu na dole, wielu z wychodźców gromadzi się w tej sali tuż u drzwi naszych. Ich jęki, konwulsyjne wysilenia, psują mi sen i apetyt, nie pomijając już chorujących w mojej kabinie dwóch młodych Niemców, którzy zapewniają mnie słabym głosem, że nigdy nie ujrzą Ameryki. „Ja nigdy nie przeżyję tej morskiej choroby”, woła jeden chłopak 17 letni. Był on synem bogatego właściciela nadreńskiej winnicy i ogrodnikiem z powołania. Stary ojciec dał mu parę tysięcy talarów i listy do krewnych w Ameryce i wyprawił w świat by go uchronić od późniejszego a przymusowego z sobą rozdziału.

— Ten okręt tak się kołysze woła drugi, iż jeszcze się wywróci i nas zatopi! Ten znów pochodził z Hanoweru, był zegarmistrzem i również

umykał przed wojaczką. I on miał kilka tysięcy talarów by założyć sklep zegarmistrzowski w St. Louis nad Missisipi.

— Pociesz się bratku, odrzekłem, co ma wisieć nie utonie, a póki jest jeden Niemiec na naszym statku woda nas niezgnębi.

(*d. c. n.*)

MYŚL UCZONEGO MŁODZIEŃCA.

Czy to mi orle skrzydła już wyrosły,
Albo sokole?... Jednak brak im pierza...
Może to tylko skrzydła niedoperza,
Bo i lot ciężki, chwiejny, niepodniosły?
A jednak młodość szaleje mi w łonie
I myśl wciąż dąży za gwiazdą przyszłości,
Lecz o cierniowej nie marzę koronie,
I nie mam wiary, i nie znam miłości...
Nie jestem orłem, nie będę jaskółką,
Co lepi gniazdko u rodzinnej strzechy;
Czemże ja jestem?... Uczoną formułką
Dla własnej nudy, dla czyjejś pociechy.

Życia koleją marną i jałową
Myśl ma się brzydząc, roznieca gniew srogi:
Sklepienia świątyń przebiłbym mą głową,
Znamiona wiary rzuciłbym pod nogi...
A w piersi zimno, serce — lodu kawał,
Wola... gdzież ona? Nie słyszałem o niej,
Zachcianek tylko zdziecinialych nawał
Zjawia się wszędzie na drodze pogoni
Za czem?... Za widmem jakiegoś *wyniku*,
Bo ideałów moja myśl nie tworzy,
Tych młodszych braci błędnego ogniku,
Tej pozłacanej umysłu obroży...
Za jakąś liczbą czystego rozumu,
Nie za natchnieniem—mrzonek bohaterem.
X mi sam wyjdzie z liczb wiadomych tłumu,
Byleby tylko nie był mniej niż zerem...
Dobrobyt, wiedza, siła i niewiara
Ilości *znane*, potężne jakością
Przyszłość, to owa *niewiadoma* wiara;
Przemnożę tamte, podzielę nicością...
Przyszłość jest równa *plus minus*—przeszłości,
Jako krew ze krwi i jak kość jej kości.
To być nie może! sam Newton się mylа,
Prawdopodobieństw teorja zawodzi:
Jedna do drugiej nie podobna chwila,
Śmierć zawsze życie, a nie śmierć—śmierć rodzi...
Zkąd ja wiem o tem? Czyż ta myśl pewnikiem
Prawa sprzeczności—negacji i tery,
I czy ty prawo jest dziejów czynnikiem,
Czy też abstrakcyą uczonej syntery?...
Myśl pozytywna abstrakcyą się brzydzi,
Więc teraźniejszość niech mi będzie Bogiem,
A w niej dobrobyt, który z jutra szydzi,
Przy nim niewiara, co jest cierpień wrogiem,
Kosmopolityzm nieznający cierni
I siła jawnych, dokonanych rzeczy:
Inaczej myślą tylko ludzie mierni
I chyba wstecznik nie widzi, lub przeczy.

Precz z marzeniami! rzeczywistość jedna
Silnej młodości sztandarem!
Gdzież zaszła ludzkość wierząca i biedna
Ze swoich marzeń nadmiarem?!..
Natchnienie, zapał — to negacje bytu
Ja jestem orłem, sokołem przedświtu
Odrodzin świata!... Co to?! tam ktoś woła:
Żem ja parodją orła i sokoła,
Że z nor teoryi wyłażą li szczury
W postacji ptaków, bez ptasiej natury...
Co to? tam *ludzkiej* głos jakiejś *samicy*
Z wyrazem dziwnej, nie ziemskiej tęsknicy,
Powtarza ciągle: tyś nie moim ptakiem;
Papugą jesteś, lub uczonym szpakiem
Samolubstwa sługą...
Ja jestem papugą?!
Nigdy! przenigdy!... O Boże mój, Boże!
Czemże ja jestem...?
Dyzharmonją w chórze.

L.....

ORZEŁ I GOŁĄBKA

POWIEŚĆ

PRZEZ

Panią Zeneidę Fleuriot.

DZIEŁO UWIEŃCZONE PRZEZ AKADEMIĘ FRANCUZKĄ

przekład **H. K.**

(Dalszy ciąg).

Grono, które się po lewej stronie zbliżało liczniejsze i świetniejsze było. Kilka kobiet, wśród których wyróżniała się promienna główka Fransezy de Keronarn, i kilku poważnych mężczyzn, szło otoczeni rojem młodzieży w rozmaitych mundurach; ci wszyscy bylito krewni Fransezy, jedénastu kuzynków, jedénastu starających się o jej względy, serce i rękę.

Przybycie tego świetnego grona wywarło wrażenie na całem zgromadzeniu i posłużyło za łącznik dwom znaczniejszem kółkom towarzystwa, które pragnęły się zbliżyć i bawić razem, nie śmiejąc jednakże pierwszego uczynić kroku.

Wkrótce nowemi siłami zasilony ogólny taniec zwrócił na siebie sympatyczną uwagę widzów wszelkiego wieku i stanu. Nikt tak nie tańczył jak Franseza de Keronarn i w niczem tak jak w tańcu nie okazywała tyle wdzięku, lekkości, swobody ruchów i szlachetności postawy. To też lubiła tańczyć, lubiła uśmiechnięta i radośna obiegać drzewa, ziemi niedotykając prawie, i żadna przeszkoda utrudniająca taniec innym tancerkom nie wstrzymywała jej lekkich kroków. Często zmieniała tancerzy, to jednego to drugiego kuzynka biorąc i wszyscy ci młodzi ludzie, poważni czy swawolni, wciągnięci byli do zabawy szczerą i trochę dziecinną jej wesołością. Lecz były i chwile przestanku w objawach wdzięcznej radości Fransezy. Otoczona swoim dworem, nagle w zamyślenie wpadała, wzrok jej błyszczący, rozglądał się w około siebie i gubił się potem w głębokościach lasu. Nieraz któryś z jedénastu usłużnie zapytał: „Kogo kuzyneczka szuka?“ Jednemu odpowiedziała: „Nikogo“, a do drugiego uśmiechnęła się tylko. Nareszcie ostatniemu bardziej natarczywemu w swych pytaniach, odpowiedziała:

— Dziwi mnie, że tu nie widzę jednej z moich przyjaciółek, Anny Darganec.

Nikt nie jest tak uprzejmy jak starający się kuzynek, któremu pokrewieństwo nadaje prawo jawnie swe nadskakiwania okazywać; gdy się więc dowiedziano, że Franseza szuka jednej ze swych przyjaciółek, wszyscy jedenastu rzucili się do jej wynalezienia, chociaż żaden z nich nigdy nie widział panny Darganec.

— Franseza, zdaje się, że znalazłem tę perłę, którą tak pragniesz widzieć—powiedział jej wkrótce młody podporucznik marynarki, który swemi złotemi akcelbantami wynosił się nieco po nad wszytkich jedénastu.—Spostrzegłem w tej chwili tam za drzewem, śliczną młodą osobę płci białej jak mleko, rysów regularnych, piękną i poważną jak Madonna; siedzi przy jakiejś małej staruszce, o poręcz jej krzesła opiera się młody człowiek bajronowskiej powierzchowności, a rodzaj pasterki, tak jak te przy nas tańczące, szepcze jej coś do ucha.

— Tak, to musi być Anna i jej towarzystwo—powiedziała Franseza uśmiechając się.—Gdzież ich spostrzegłeś, powiedz mi proszę.

— Tam—rzekł młody podporucznik—ręką wskazując na prawo, idealna twoja przyjaciółka wpatruje się w chmury i obłoki, albo przygląda się tańcującym wieśniakom.

— I słusznie robi—powiedziała Franseza z lekkiem zadumaniem—te polki i walce po trawie sensu nie mają i w końcu doprowadzą naszych wieśniaków do pogardzenia swemi staremi a tak wdzięcznemi tańcami.

W tej właśnie chwili kilka par miejskich przesunęło się około mówiących; Noemi Drassart dała się także pochwycić temu wirowi, na który poważniejsi wieśniacy ze wzgardą patrzyli. Wyraz niezadowolenia przemknął po różowej twarzyczce Fransezy; wstała, a biorąc ojca pod rękę:

— Ojcze kochany—zawołała z żywością—na odpoczynek chodźmy zobaczyć, jak tańczą *jabadao*.

— Chodźmy—zawołało kilka głosów—dosyć już mamy tych miejskich tańców.

I całe grono opuściło część lasu, gdzie muzyka wojskowa przygrywała a po wielu trudnościach i zakrętach po lesie, dostało się nareszcie do miejsca, gdzie młodzież wiejska ochoczo wywijała.

Podporucznik nie opuszczał Fransezy. Jak tylko spostrzegł osoby, o których mówił, przedstawiające się jako śliczny rodzajowy obrazek na tle tego różnobarwnego i ruchliwego tłumu, wskazał je natychmiast kuzynce swojej. Bezbarwna panna Marya-Ludwika, piękna Anna i ponury Henryk, wybitnie się odznaczali w tej uroczystości, w której prawie żadnego nie brali udziału. Chętnieby się chciało zapytać, dla czego tu się znajduje ta zasuszona Marya-Ludwika, ten cień kobiety, i ów anioł Fra-Angelica, zadumany i zapatrzony w niebo z takim cudnym wyrazem wygnanki, jak i ten smutny a dumny Henryk, którego ogniste wejrzenie, z nudów zdawało się przygasać.

— Wszak jest-to przyjaciółka kuzynki, nieprawdaż?—zapytał młody podporucznik.

— Tak to oni—odpowiedziała Franseza, jakby machinalnie.

— Czy przejdziemy, kuzynko przez środek koła tańczących?—zawołał jeden z jedénastu.

— To byłoby przeciw zwyczajom—powiedział pan de Keronarn.— Czy nie zgodzilibyście się panie na chwilkę odpoczynku?

— Bardzo chętnie, odpowiedziały panie chórem.

— Moglibyśmy zgrabnie przelawirować przez ten tłum—odezwał się podporucznik z widocznym zamiarem przypodobania się Fransezy, która z rodziny Darganec oczu swych nie spuszczała na chwilę.

— I po cóż-to robić?—odezwała się jedna z pań obecnych—doskonale ztąd tańce widzimy, a zresztą zaraz się on skończy.

Wszyscy jedenastu spojrzeli na Fransezę, która była ich wyrocznią, a Franseza odpowiedziała z uśmiechem:

— Tak—zostańmy tutaj.

Wtenczas kuzynkowie gorliwie się zajęli wynalezieniem krzeseł dla pań, ale Franseza stanowczo oświadczyła, że nie siądzie, dla tego że chce lepiej tańcom przypatrzyć się, a w rzeczy samej cała jej uwaga zwrócona była na siedzących pod drzewem, których tańczące pary to zasłaniały, to odkrywały naprzemian.

Zobaczyła, jak Henryk nagle się ocknął ze swego letargicznego spokoju i zbliżył się do panów Drassart tamtędy przechodzących. Widziała, jak Anna musiała rozmawiać z kilku osobami ją witającemi, jedna Marya-Ludwika pozostawała ciągle w swem milczeniu i nieruchomości. Potem już nic nie widziała, tłum zasłonił jej tych, co ją zajmowali.

Taniec, którego końca oczekiwano coraz więcej jednak życia nabierał.

— Zdaje mi się—powiedziała wreszcie Francesa—że jesteśmy tak jak ten wieśniak, który chcąc przejść rzekę suchą nogą czekał, aby płynąć przestała.

— A więc rzućmy się wpław!—zawołał najmłodszy z jedénastu noszący jeszcze mundur z wypustką błękitną uczniów szkoły politechnicznej w Saint-Cyr.

— Falaby nas uniosła, młodzieńcze—odezwała się przezorna dama.—Jeżeli moja siostrzenica pragnie koniecznie dostać się na tamtą stronę, najbezpieczniej będzie lawirować, jak mówił Edmund.

I wskazała końcem parosolki na młodego podporucznika.

— Ciotka de Kerbar ma słuszność, lawirujmy—potwierdziła Franseza.

— Chodźmy mamo—zawołał młody człowiek, rozkaz i młodzi przewodnicy zdawali się szukać ich nawet, swój w oczach Fransezy wyczytawszy.

Wmięszali się więc w tłum i długo wśród niego kręcili się. Raz wpadli na stosy beczek z jabłecznikiem, później zabłądzili aż na miejsce prawdziwego jarmarku na ptaki, pomiędzy niezliczoną ilość trzcinowych klatek, w których było uwięzione ładne choć dzikie ptastwo miejscowe; trzecim znowu razem znaleźli się ujęci w sploty tego żyjącego łańcucha par tańczących. Wesoło usuwano wszystkie przeszkody a ztąd bardzo pomału ale naprzód się posuwano. Gdy przybyli do drzewa, w cieniu którego odpoczywała przedtem rodzina Darganec, nikogo już tam nie było Franseza nadąsaną minką wymownie wypowiedziała swoje niezadowolenie.

— Czy może każesz ich poszukać?—zapytał podporucznik.

— W tym tłumie—odpowiedziała Franseza—o! nie!

— A gdybyśmy poszli tańczyć, odezwało się kilka głosów.

— Chodźmy—odrzekła Franseza, lecz po chwili dodała:

— Znowu się wmięszamy do tych nieznośnych polek, nie! wolę już tu pozostać.

— Tańczmy więc tutaj—podchwycił żywy podporucznik.—

— Cóż chcecie tańczyć? —zapytała śmiejąc się młoda dziewczyna—walca, czy nasze narodowe *passe-pied?*

— Wszystko co każesz!—zawołał studencik z błękitną wypustką—Fransezo, wszak obiecałaś mi walca?

— Gdy będę go tańczyła—odpowiedziała Franseza—ale teraz nie chcę walcować. Nasz dawny ludowy taniec lepiejby mi się podobał, ale żaden z was go nie umie. Kto może być moim tancerzem?

— Ja! odpowiedział za nią głos dźwięczny, jeśli pani pozwoli?

I Henryk Darganec, przeciskając się przez tych je dénastu, podał rękę Fransezie.

— Bayronista!—szepnął podporucznik z niechęcią.

— Idźcie dzieci i dobrze poprowadźcie ten nasz stary, poczciwy taniec!—zawołał pan de Keronarn, który już prawie zapomniał o odwiedzinach panny Katarzyny i nic o nich córce nie wspominał.

— Dziś już tańczyć nie umieją, a zwłaszcza nie mają pojęcia o naszych dawniejszych a tak pięknych tańcach.

Wielkiem kołem otoczono młodą i piękną parę od której reszta tańcujących z uszanowaniem się oddaliła nieco, a wiejscy muzykanci jak w obraz się wpatrzyli. Dziedziczka Koat-an-Abat miała prowadzić *passe-pied.* Wieść ta obiegła całe zgromadzenie. Pary się tłumnie zbierały i doraźna sprawiedliwość sama się dopełniała w zwartych szeregach tańczących. Wszystka też najładniejsza i najzgrabiejsza młodzież okoliczna znalazła się wkrótce parami uszykowana za Henrykiem i Fransezą, którą tyle spojrzeń ku niej skierowanych nie mieszało wcale, i która uradowana czekała tylko, aby się koło utworzyło.

Mieszkańcy miejscowi i obcy przybysze zbiegali się ze wszystkich stron lasu. Wietrzyk przemykający się pomiędzy drżące listki, rozniósł i obwieścił każdemu, że taniec wiejski prowadzony będzie przez piękną Fransezę de Kernarn, każdy więc pragnął być świadkiem tego niezwyczajnego widowiska. Franseza nie zmieszana wcale, poważnie wykonywała przed Henrykiem powolne i wdzięczne *pas*, które dzisiejsze podrygiwania tak niefortunnie zastąpiły; niewinna i uśmiechnięta, lekko się przesuwała przed szeregami widzów, którzy mimowolnem wiedzeni uszanowaniem, cofali się przed tą nimfą o złotych włosach, jak ją obecni marzyciele przezwali. Pod ogniem tysiąca spojrzeń wszelka rozmowa była niemożebną między Fransezą i jej tancerzem, i młoda dziewczyna poprzestawała na wskazywaniu z uśmiechem Henrykowi błędów choregraficznych, które co chwila popełniał.

Gdy w odpowiedzi na te uwagi Henryk wzrok na swą tancerkę podnosił, widok tej twarzyczki szczęśliwej i uśmiechniętej bolesne na nim wywierał wrażenie. Czyżby pan de Kernarn zataił przed córką cel rannych odwiedzin panny Katarzyny?

Kuzynkowie otaczając pana de Kernarn i panią de Kerbar, przypatrywali się tańczącym, lecz wkrótce ujrzano młodego podporucznika podającego rękę ładnej wiejskiej dziewczynie i z nią stającego w taneczném kole.

— Edmundzie, co znaczy ten wybryk?—zapytała zdziwiona matka.

— To znaczy, że drażni mnie widok mojej kuzynki Fransezy tańczącej z tym ponurym jegomością. W jednej chwili nauczę się tego tańca i wtedy go zastąpię.

Rzeczywiście w kwadrans potem, gdy wszyscy zmuszeni byli odpocząć, świetny podporucznik znalazł się przy Fransezie.

— Kuzynko—powiedział—starałem się nauczyć twego ulubionego tańca, ale zechciej mnie objaśnić co do niektórych szczegółów jeszcze mi nieznanych. Czy wolno mi będzie zastąpić pana....?

I lekko skłonił się Henrykowi.

— Czy wolno, panie Henryku?—zapytała Franseza.

— Wolno pani—odpowiedział Henryk ukłon oddając.

— Czy będziem dziś widzieć pana w Koat-an-Abat, panie Henryku?—dodała Franseza.

— Nie pani.

Po tej tak suchej odpowiedzi Henryk głęboko się skłonił i zniknął w tłumie. Błądził wśród niego czas jakiś, lecz potem powrócił znowu w stronę tańczących. Ukryty za grube drzewo o gęstych liściach i konarach, sam niewidzialny, mógł się im dobrze przypatrywać. Chmurka, którą dość dziwna odpowiedź Henryka sprowadziła na wdzięczne rysy Fransezy, już się była rozeszła, wesoło tańczyła przed podporucznikiem, którego złote akcelbanty świeciły w promieniach zniżającego się słońca. Henryk oparł rękę o drzewo a czoło na ręku. Wszystko, co tylko zawiedziona nadzieja może wzbudzić boleści, goryczy i gniewu w męzkiem sercu, odbijało się teraz na jego twarzy. A Francesa tańczyła; jej gazowa suknia ocierała się o gałęzie zakrywające przed jej oczyma tego, który żadnego z jej ruchów nie tracił i którego cień bezkształtny niewyraźnie przeciągał się na trawniku.

Ale wtem z szelestem gazy po liściach inny blizki jakiś odgłos się zmięszał, na który drgnęła Franseza.

— Czy słyszałeś Edmundzie? zapytała podporucznika.

— Co, Fransezo?

— Coś jakby westchnienie, jakby łkanie.

— Wychodzące z piersi jakiejś opuszczonej Hamadryady, odpowiedział żartobliwie Edmund Fransezie, która nieprzestając tańczyć, zwróciła się ku rozłożystemu drzewu.

Wznosiło się ono jak wielki maszt po nad drobniejsze krzaki, ale nic przy niem, ani za niem dojrzeć już nie było można.

VII.

W PUŁAPCE.

Henryk szybko się oddalił i dostał się do tej części lasu, którą zajmowali cudzoziemcy. Orli wzrok jego prędko rozpoznał wśród tego licznego towarzystwa grono paryzkie, a po za nim przechadzających się trzech mężczyzn: pana Eugeniusza Drassart i dwóch panów sześćdziesięcioletnich powierzchowności dziwny szacunek wzbudzającej.

Ci dwaj staruszkowie przechadzający się z paryzkim spekulantem, jednostajny niejako typ przedstawiali: też same rysy, ten sam wyraz twarzy, ten sam głos, chód i ruchy, takież srebrzyste włosy, jednakowe paltoty długie i wytarte, takież same krawaty czarne niedbale zawiązane, słowem podobieństwo tak uderzające i doskonałe, jakie tylko między bliźniętami czasem daje się spostrzegać.

Panowie Bihanni rzeczywiście byli bliźniętami, a podobieństwo ich nie tylko na powierzchowności polegało, lecz było zarówno i moralne. Obaj posiadali tę wzniosłość i czystość duszy, ten sam potężny umysł, tę samą czułość serca i równe do nauki zamiłowanie. W tem jednakże mała zachodziła różnica. Pan Karol oddawał się medycynie, a pan Filip poświęcał się całkiem naukom przyrodzonym. Ta różnica, która zdaje się, że więcej jeszcze zacisnęła serdeczne związki ich łączące, była także cechą, po której jednego od drugiego odróżniano. Pan Filip bowiem szedł zawsze z głową spuszczoną, jak uczony, który rozmyśla i szuka, pan Karol zaś badawczym wzrokiem do koła siebie spoglądał, jak uczony czyniący porównania; pan Filip kręcił zawsze w palcach jakiś listek lub gałązkę, gdy pan Karol trzymał w ręku mały pugilaresik, zawierający delikatne narzędzia chirurgiczne. Zresztą trudno było widzieć dwie istoty tak zgodnie żyjące z sobą, tak wiernie razem kamienistą drogę życia przebywające.

I tak jak ręka w rękę podróż tę rozpoczęli, tak też i skończyć ją postanowili. Również zdrowi na ciele i duszy, równie dalecy od wszelkich namiętności życiowych, razem się postarzeli, razem twarze ich się pomarszczyły a włosy zbielały i dobre trzeba było mieć oczy, aby rozpoznać, że włosy brata Filipa więcej były posrebrzone od włosów brata Karola. Z jakąż-to wzruszającą prostotą nazywali się braćmi, i wszyscy im to miano dawali, nawet dzieci, gdy ich spostrzegły wołały: Idzie brat Karol, albo: Dobry dzień bracie Filipie!

Gdy Henryk zbliżył się niespodzianie do przechającego się grona, wszyscy trzej pytająco na niego spojrzeli.

— Kochany panie Drassart—rzekł młody człowiek głosem metalicznym, wziąwszy wszystko na rozwagę, przyjmuję twoją propozycyę.

Dwuznaczny uśmiech zaigrał na ustach pana Drassart.

— Więc rozważałeś Henryku—odezwał się z żywością jeden ze staruszków—kiedyż miałeś czas dobrze zastanowić się nad tem?

— Nie od dzisiaj, mój wuju—odrzekł zimno Henryk, tylko dziś powziąłem stanowczy zamiar.

Pan Drassart rzucił spojrzenie lekko szydercze na swych towarzyszy i rzekł biorąc pod rękę Henryka.

— A więc zabieram ciebie do Kerlouis, powóz mój gotów, a mamy jeszcze wiele do pomówienia z sobą. Te panie także znudzone już są tą głupią sielanką. Czy jedziesz?

Henryk skłonił głowę na znak przyzwolenia, a żegnając z roztargnieniem staruszków oddalił się z panem Drassart.

Bracia długo za niemi patrzyli i wyraz smutku ukazał się na ich pogodnych twarzach.

— Jeszcze jedna ofiara więcej, Filipie—przemówił pan Karol—ten biedny Henryk dał się ująć na arkan.

— Byłem jednakże pewny, bracie Karolu—odpowiedział pan Filip—że oprze się pokusie. Powinniśmy byli starać się zniweczyć postanowienie tak niespodziane i nieszczęśliwe.

— I na cóż, lepiej żeśmy milczeli. Nie znam dość dobrze Henryka, aby odgadnąć, co się w nim dzieje, lecz obecne jego postanowienie wywołanem zostało niechybnie przez jakąś gwałtowną przyczynę. Namiętność jego, nie wiem jaka, jest podniecona, działać będzie ślepo, jak każda energiczna istota pod wpływem namiętności. Mój Boże! mój Boże! w jakież on złe ręce się dostaje.

— Tak, ale Henryk jest człowiekiem, bracie Karolu, człowiekiem honorowym i wzniosłego umysłu, nie da się długo unosić prądowi, w który rzuca się tak niebacznie.

— Daj to Boże! Na nieszczęście, dobrze to wiemy bracie Filipie, ilu z naszych najlepszych zostało wciągniętych. Rozum, honor, charakter, są-to silne zapory, ale niestety! siła niektórych prądów znosi je jak piaskowe nasypy. Proste doświadczenie uczy nas tego.

— Ależ on wierzy, a to jest najsilniejsza tama przeciw złemu.

Pan Karol wzniół oczy ku błękitom nieba i potrząsając głową mówił smutnie:

— Wiara jego nie przeszła próby ogniowej, a wszystko w tym nowym świecie w którym żyć zamierza w jego wiarę taranami uderzać będzie. Do sześciu miesięcy zachwieje się ona; honor, sumienie, charakter i przekonania, także chwiać się poczną, a reszta będzie już tylko dziełem czasu i sprzyjających okoliczności. Tak, bracie Filipie, ten człowiek zamiast majątku i pozycyi, którą spodziewa się zdobyć, pędzi na zgubę swoją.

— Czyż nie bylibyśmy w możności ustrzedz go od niej? przerwał pan Filip z żywością, jeżeli nie mogliśmy przeszkodzić Henrykowi, co do wzięcia udziału w politycznych i finansowych obrotach pana Drassart, w Paryżu łatwo nam będzie mieć oko na niego.

— W Paryżu? Henryk dwa razy nas odwiedzi i zapomni nawet o istnieniu dwóch starych krewnych, którzy szczerze są mu przychylni. W oczach ludzi oddanych teraźniejszemu społecznemu życiu, my Filipie, jak z innego świata jesteśmy. Uczynimy, co będziemy mogli; ale on się nam wymknie. Jedyna skuteczna opieka nad Henrykiem byłaby w towarzystwie siostry. Możeby Anna się zgodziła pojechać do Paryża i zostać jego aniołem stróżem?

— Biedna gołąbka—rzekł pan Filip—Paryż ją przerazi.

— Tak, ale jej nie pokona. Widząc tę gołąbkę przy boku Henryka, byłbym o niego spokojniejszy. W tej dziewczynie są skarby rozumu i energii, duch Boży naprawdę w niej przebywa.

— Bracie Karolu, nigdy Annie nie przyjdzie myśl towarzyszenia Henrykowi do Paryża.

— Trzeba więc ją poddać. Dlaczegobyśmy nie mieli działać przeciw pokusie? Zły duch namówił Henryka do udania się za panem Drassart, dobry duch niech doradzi siostrze, aby pojechała z bratem. Dla Anny, po Bogu, Henryk jest tylko na świecie.

— Otóż i zaraz, bracie Karolu, rola dobrego ducha twoim zostanie udziałem. Wszak-to Marya-Ludwika i Anna, które się ku nam zbliżają?

— Tak, to są one. Zajmij się więc Filipie naszą dobrą kuzynką, a ja tymczasem szepnę Annie parę słówek na ucho.

To ułożywszy, obaj staruszkowie, zbliżyli się do Maryi-Ludwiki i Anny, które szły zwolna pod cieniem drzew wielkich.

Serdecznie się powitano.

— Czy kuzynka nie czuje się zmęczoną? zapytał pan Filip Maryę-Ludwikę.

— Trochę Filipie—odpowiedziała Marya-Ludwika twarz swą bezbarwną chusteczką ocierając—chciałybyśmy wrócić już do domu, ale trudno nam się z tego tłumu wydostać.

— Niech się kuzynka pozwoli odprowadzić na brzeg lasu—odrzekł uprzejmy staruszek, może się nam uda uniknąć tłoku.

I podał ramię Maryi-Ludwice na które ona bojaźliwie końce swych palców położyła. Pan Karol, po ojcowsku wziął pod rękę Annę i ścicha rzekł do niej:

— Mam ci coś powiedzieć o Henryku. Idźmyż więc zwolna.

Anna natychmiast zwolniła kroku, a piękna jej twarzyczka nagle zaniepokojona, zwróciła się ku mówiącemu.

— Tylko cośmy przyjechali do Pouldu—ciągnął dalej staruszek, i nic nie wiedzieliśmy, że pan Drassart kupił majątek około Quimperlé, a tem barziej, że zna Henryka.

— Henryk, mój wuju, lubi polowanie i rybołówstwo. Ten pan przyjechał w nasze strony w pierwszych dniach wiosny dla obejrzenia swego letniego mieszkania, zapoznał się z Henrykiem, obsypywał go grzecznościami, zaprosinami, widywali się często, tak, że i ja byłam nawet zmuszoną parę wizyt tym paniom oddać. Zdaje mi się, że nic w tem złego nie ma?

— Niby w tem złego nie było, gdyby pan Drassart nie powziął zgubnej myśli, wciągnięcia Henryka w wir interesów, w których sam ciągle się obraca.

— Ależ pan Drassart żadnemi się interesami nie zajmuje, ma tylko znaczne jakieś miejsce przy niewiem jakiej administracyi.

— Wiem, nosi on tytuł i figuruje na liście budżetowej, lecz cały swój czas i zdolności poświęca tysiącznym szacherkom, jemu tylko wiadomym. Nie o niego mi chodzi, ale o Henryka, którego namówił do opuszczenia Quimperle i który ma zostać wspólnikiem jego brata.

Anna pobladła.

— Kiedy i jak potrafił go na to namówić?—zapytała.

— Kiedy? dzisiaj. Jak? przedstawiając przed jego oczyma cały szereg zajęć i interesów brata, otwierając przed nim nowe jakieś widnokręgi, które olśniły i uwiodły Henryka.

— Czy mój brat uczynił już jakie obietnice, czy związał się słowem?—zapytała znowu Anna, siląc się ale napróżno ukryć pomieszanie swoje.

— Stanowczo oświadczył, że przyjmuje propozycye już poprzednio mu czynione.—

Głębokie westchnienie podniosło pierś Anny i mimowolnie spuściła głowę, aby oczy starca nie dojrzały łez, których dłużej powstrzymać nie mogła.

— Nie umiem ci nawet wypowiedzieć—ciągnął dalej pan Karol—o ile mnie postanowienie Henryka zdziwiło i zasmuciło. Nie mogłem nawet wystąpić ze zdaniem mojem, tak na wszystko od razu się zgodził bez najmniejszego wahania się lub walki.

— Cierpiał—szepnęła Anna.

— Tak też myślałem, odrzekł równie cicho staruszek.—Już klamka zapadła, płacz Anno; wszyscy młodzi ludzie naszych czasów mają to pragnienie szybkiego powodzenia i nieznanego świata, w danej chwili zatem gwałtownością swych postanowień niepokoją nasze doświadczenie. Lecz nie mają oni wszyscy charakteru, intelligencyi i wieku Henryka. Henryk może być szczęśliwszym, przepowiedziałbym chętnie, że mu się powiedzie, gdybym był pewien, że go strzeże przezorne oko a podtrzymuje ręka pewna i kochająca. Znajdzie się on pośród kameleonów wszelkiego rodzaju, wśród świetnych mówców, sofistów, żyć będzie w otoczeniu chwiejnem, niepewnem siebie, gorączkowem; lecz on jest silny, i wiem, że dośćby mu było mieć zbawczy sznur w ręku, aby przejść pewnym krokiem po nad otwartemi przepaściami paryzkiego świata, ale trzeba mu go podać.

— Wuju drogi, proszę cię, mów, jaśniej—z coraz większym niepokojem przerwała mu Anna.

— Moje dziecko, w Paryżu Henryk sam sobie zostawiony, działający bez żadnego nadzoru, bez niczyjej porady, zdaje mi się, iż będzie narażony na wszelkiego rodzaju niebezpieczeństwa; Henryk mając przy sobie swego anioła stróża, swoją siostrę, walczyć będzie energicznie i nie tak łatwo się podda.

— O! mój Boże, ja? w Paryżu!—zawołała Anna, spoglądając w koło siebie wzrokiem przerażonym—to przypuszczenie nieraz mi się na myśl nasuwało i zawsze przejmowało mnie strachem.

— Poświęcenie byłoby wielkie, wiem o tem. Cóż chcesz, moje dziecię, szukając sposobu zachowania Henryka od złego, ten tylko znaleźliśmy. Nie mogłem ci tego nie powiedzieć, lecz na postanowienie twoje w niczem wpływać nie chcę, bo zresztą być może, że to poświęcenie twoje zbytecznem lub bezowocnem będzie. Kto ręczyć może za człowieka, który w trzydziestu latach nowy sobie zawód obiera? Może to i okrucieństwo radzić ci zmianę życia, lecz gdy się na nią zgodzisz, najniezawodniej wyświadczysz bratu największą przysługę.

— Dość już mój wuju—przerwała Anna łagodnie—moim obowiązkiem na tym świecie jest zastąpić matkę Henrykowi, przynajmniej dopóki się nie ożeni; jeżeli Bóg pozwoli wypełnię ten obowiązek w każdej okoliczności i w każdem miejscu. Gdy ciotka Katarzyna pozwoli a Henryk zechce, pojadę z nim do Paryża.

— A więc dobrze droga Anno—powiedział poczciwy starzec z prostotą—niech Bóg błogosławi twe odważne postanowienie. Miło nam będzie pomyśleć, że gołąbka nie opuszcza orła.

— Opuścić go? o! nigdy!—odpowiedziała zamyślona Anna—orły wysoko latają, lecz niestety! często światło oślepiać się dają. W zapale w jakim się Henryk rzuca nie może nie utracić sił, zbyt na siebie liczy: powinnam więc być przy nim.

Gdy Anna tych ostatnich słów domawiała, Marya-Ludwika i pan Filip doszli już byli nad brzeg lasu. Obaj bracia pożegnali się i odjechali skromnym kabryolecikiem do Pouldu, podczas gdy panie pieszo do Quimperlé wracały.

Droga była przepełniona ludźmi, którzy dla rozmaitych powodów wcześniej od innych zabawę opuszczali, i Marya-Ludwika wielce była zajętą oddawaniem ukłonów znajomym, co chwilą ją witającym.

Anna się do nich uśmiechała, lecz przymusowym uśmiechem i odwracała się często, patrząc na drogę. Gdy przeszły Koat-an-Abat, usłyszała za sobą chód dobrze jej znany, obejrzała się i spostrzegła Henryka, który szybkiem krokiem do niej się zbliżał. Młody człowiek wziął w milczeniu siostrę pod rękę, i zdawał się słuchać uważnie opowiadania Maryi-Ludwiki o wszystkich świetnościach „Jarmarku na ptaki“.

Gdy wszyscy troje doszli do starego ganku w ulicy Zamkowej, Henryk nic jeszcze nie by przemówił do

Anny, Anna nie spojrzała nawet na Henryka, a jednak po ich zakłopotaniu i stroskanych twarzach można było sądzić, że jedno drugiemu smutek swój powierzyło.

— Czy wstąpisz do nas?—zapytała Anna ciężkie drzwi otwierając.

— Wstąpię—odpowiedział Henryk—mam do pomówienia z ciotką Katarzyną i z tobą także. Nie oddałaś ostatniej wizyty paniom Drassart tyle dla ciebie uprzejmym, to bardzo niegrzecznie. Czy chcesz ze mną razem pójść jutro do Kerlouis?

Anna skinieniem głowy dała znak przyzwolenia i Henryk wszedł w ciemny korytarz, a potem do saloniku skromnego i cichego, w którym od sześćdziesięciu lat kręcił się kołowrotek panny Katarzyny.

— Jużeś wrócił z Toulfouen Henryku?—zapytała ciotka—czyś nie tańczył?

— Nie ciotko, poważniejszemi sprawami zajęty byłem. Czekano mnie nawet dziś wieczorem w Kerlouis, ale mając z ciocią do pomówienia, wizytę moją do państwa Drassart odłożyłem na jutro.

— Drassart?—powtórzyła panna Katarzyna; nazwisko nie z naszych okolic, może-to są ci nowi nabywcy pałacu w Kerlouis?

— Tak ciotko.

— Powierzyli ci swoje interesa Henryku?

— Lepiej jeszcze, namawiają do udziału w ich interesach.

— Dobry notaryusz Henryku, zajmuje się jedynie interesami swego biura, a do cudzych nie miesza się wcale.

— Interesa, jakie prowadzą ci panowie, z notaryatem nic wspólnego nie mają.

— A więc zupełnie ciebie obchodzić nie powinny.

— Zapewne, dopóki jestem notaryuszem, lecz ja moja ciotko, powziąłem silne postanowienie nie być już nim dłużej.

Nagłe wstrząśnienie poruszyło nerwy zatuszonej twarzy panny Katarzyny, ale milczała i hebanowe kółko nie zatrzymało się na chwilę.

— Ciotko—mówił dalej Henryk, którego twarz przybrała wyraz nieugięty, właściwy tylko niektórym bretońskim fizyognomiom—chciałem w czternastym roku życia wstąpić do zakładu, z którego przechodzi się do szkoły politechnicznej w Saint-Cyr, sprzeciwiłaś się temu; w osiemnastym chciałem zaciągnąć się do wojska, odmówiłaś mi twego pozwolenia i wysłałaś mnie na kursa prawne do Rennes, byłem ci posłuszny; w dwudziestym piątym roku miałem zamiar włożyć mój mały mająteczek w entrepryzy morskie w Saint-Malo, sprzeciwiałaś się temu i żądałaś, abym nabył biuro notaryalne, i w tem cię usłuchałem.

— A teraz żałujesz tego Henryku?—zapytała nagle panna Katarzyna wzrokiem błyszczącym i zimnym jak stal, wpatrując się w młodzieńca.

— Jak ciotka to rozumie?

— Czyż interesa twoje są w złym stanie? Czy straciłeś wziętość u ludzi? Czy przyszłość cię niepokoi? Boiszże się utraty majątku, hańby lub nędzy?

— Niczego podobnego się nie obawiam.

— A więc na cóż narzekasz?

— Na to, że jestem notaryuszem w Quimperlé. Wszak zawsze ciotce powtarzałem: usłucham, sprobuję, lecz z wielką niechęcią. Nie moja-to rzecz urzędowe akta i papier stemplowy; zdolności jakie mieć mogę nie mają pola do rozwinięcia się pomiędzy temi chytremi i przebiegłemi wieśniakami, w tem zastarzałem społeczeństwie. Nie lubię ani bilardu, ani kart, ani plotek; jedynym dla mnie ratunkiem, była tylko miłość dla Fransezy de Keronarn. Gdy mi Franseza de Keronarn odmówioną została, pobyt mój dalszy w Quimperlé jest niepodobny.

— Wiele jeszcze dobrego w Quimperlé, Henryku.

Henryk powstał.

— Zapewne—odpowiedział—i być może, że kiedyś tu wrócę, aby umrzeć spokojnie, lecz żyć tu nie mogę. Te despotyczne zwyczaje, to codzienne gdakanie i plotki, bezmyślne drobiazgowe rywalizacye, nadto mi już dokuczyły.

Wzniósł swe potężne ramiona i dodał:

— Dość mam już tego.

— I jakież są twoje zamiary?—zapytała panna Katarzyna przestając prząść.

— Odstąpić moje biuro i przyjąć zajęcie, które mi ofiarują panowie Drassart, zanim co lepszego się nie znajdzie.

— Znaszże tych ludzi?

— Są-to ludzie znaczne stanowiska w Paryżu posiadający.

— Ile masz lat Henryku?

— Wkrótce skończę trzydzieści i dwa, ciotko Katarzyno.

— Trzydzieści jeden lat, jedenaście miesięcy, dni siedemnaście—odrzekła zwolna panna Katarzyna—zatem jesteś więcej niż pełnoletnim. Gdybyś nim nie był, stanowczobym odmówiła mego pozwolenia, lecz jesteś pełnoletnim, czyń więc, co ci się podoba.

— Dziękuję ciotce—odpowiedział Henryk.

I wyszedł.

Panna Katarzyna schyliła się, zdjęła z nogi swój trzewik drewniany i uderzyła nim trzy razy w sąsiednią ścianę.

Dawszy to hasło włożyła trzewik na nowo, a skrzyżowawszy ręce na kolanach, pozostała nieruchomą z twarzą zwróconą ku oknu, oświetlonemu w tej chwili ostatniemi promieniami zachodzącego słońca.

W pięć minut potem, Anna się ukazała.

— Wołasz mnie ciotko Katarzyno?—zapytała wchodząc.

— Tak jest—krótko odpowiedziała panna Katarzyna i badawczo spojrzawszy na Annę dodała:

— Anno, czy wiesz, że on jedzie?

Anna ze smutkiem głowę schyliła.

— Jedzie oto—mówiła dalej panna Katarzyna—porzuca nas, porzuca swój kraj, ziemię która pokrywa prochy jego ojców; to szaleństwo, a ja musiałam na nie przyzwolić!

— I nie opierałaś się dłużej, moja ciotko?—zapytała przygnębiona Anna.

— Nie! Gdy który z Darganeków ma taki wyraz, jaki dostrzegłem przed chwilą na twarzy Henryka, wszelki opór jest bezużyteczny. I dla tego chciałam ci powiedzieć, że nie zatrzymuj go.

— Czuję że zatrzymywać go jest niepodobieństwem—szepnęła Anna—ale takie straszne rzeczy mówią o niebezpieczeństwach tego Paryża, że chętnie popełniłabym także szaleństwo po... po...

— Jakie?—zapytała panna Katarzyno.

— Pojechania z nim razem.

Pana Katarzyna z ruchem nakazującym, rękę swą wyschłą przed siebie wyciągnęła.

— Nie chcę i słyszeć nawet o tem—wymówiła.

Anna usiadła naprzeciw niej.

— Ciotko—poczęła mówić powoli, lecz śmiało—mało znasz świat teraźniejszy, teraz gorzej jest, niż za twoich czasów bywało.

— Tak mówią Anno, lecz mniej więcej musi to być tak samo.

— Gorzej ciociu, gorzej daleko, Henryk mieszkać będzie w Paryżu sam jeden, wyłudzą lub rozkradną mu jego majątek.

Bolesny wyraz ukazał się na twarzy panny Katarzyny, lecz głosem oschłym odrzekła:

— Sam sobie winien będzie.

— Doprowadzą go do zapomnienia o kraju swym, o rodzinie—ciągnęła Anna.

Głos oschły odpowiedział:

— Sam sobie będzie winien.

— Wyśmieją jego prawość i uczciwość, doprowadzą go do lekceważenia honoru...

Gorący, lecz przelotny rumieniec błysnął jak płomyk na kościstych skroniach panny Katarzyny, ale niezmieniając głosu powtórzyła:

— Sam sobie winien będzie.

— Droga ciotko, pozwól mi z nim jechać—kończyła Anna głosem błagalnym.

Panna Katarzyna odpowiedziała:

— Zabraniam ci nadal mówić nawet o tym przedmiocie.

— Przyrzeknij mi tylko, ciotko, że prośbę moją rozważysz; proszę cię błagam, zastanów się nad nią.

— Ogrodnik musiał już skończyć opielanie marchwi—powiedziała panna Katarzyna, chłodno patrząc na Annę, czas jest inne dać mu rozkazy.

Anna zrozumiała, że ciotka pragnie się jej pozbyć, wstała więc i wyszła.

(d. c. n.)

Przegląd literacki.

PIEŚNI I PIOSENKI

Maryi Szeligi.

Warszawa. Nakład wydawnictwa S. Czarnowskiego i sp. 1873 r. str. 260 in 8-o. Dedykowane Konstancyi Mireckiej.

Irritabile genus poetarum, powtarzano nam niegdyś, i w samej rzeczy ze wszystkich ludzi najdrażliwszemi są poeci; lada nieprzychylne słówko o ich utworach zatruwa im życie i często szkodliwy wpływ wywiera na dalszy rozwój ich talentu. Szczególniej też po raz pierwszy występujący publicznie ze swojemi utworami poeci, odznaczają się niezwykłą czułością; oburzeni powstają na krytykę i recenzentów, obwiniając ich o nieuctwo, niesprawiedliwość, a zawsze o stronność i zawiść. Z takiemi skargami rozwodzą się prozą i wierszem nie tylko podrzędni z chorobliwą wyobraźnią rymotwórcy, lecz rzeczywiste talenta, a nawet geniusze, chociaż tak jedni jak drudzy doskonale pojmują, że bez krytyki poezya, a w ogóle literatura obyć się nie może, jeśli nie ma popaść w chaos zgubny zarówno dla piszących jak dla czytającej publiki.

Każdy zgadza się na potrzebę krytyki, a prawie nikt nie jest z niej zadowolony. Jest-to fakt bijący w oczy, musi więc mieć racyą swojego bytu; ową racyą, według nas, jest drugi fakt, również widoczny, że recenzenci, pomimo najuroczystszego zapewnienia, nie umiejąc czy nie mogąc utrzymać się na stanowisku czysto objektywnem, zwykle powodują się osobistemi względami, ztąd wyradza się albo panegiryk, albo paszkwil nie mające nic wspólnego z właściwą krytyką. O dziennikarskich ogólnikach nie wspominamy, są one mniej więcej upozorowaną reklamą, z której czytelnik niewiele dowiedzieć się może.

Genialnych poetów miała polska literatura, lecz na genialnego krytyka oczekuje dopiero; a chociaż pod tym względem odznaczyło się kilku niezwykłej zdolności mężów, których głos znajdował i znajduje uznanie w narodzie, niemniej przecież słów naszych nie cofamy, powtarzając, że łatwiej u nas o dobrego pisarza, niżeli o dobrego krytyka. Jakie zaś żywioły składają się na tego ostatniego, i jakich przymiotów żądamy od niego, długo trzebaby rozprawiać i powtarzać z pewnemi zmianami, co już po sto razy przed nami powiedziano.

Występujący na niwę literacką, mianowicie beletrystyczną, nie wiedząc na jakich i w jakiem usposobieniu natrafią sprawozdawców krytycznych, nie chcąc narażać swojego nazwiska na poniewier-

kę, przybierają różne pseudonymy, pod których osłoną puszczają w świat swoje utwory. Ztąd pojawiły się w naszej literaturze: *Pasternaki, Pługi, Jeże, Syrokomle, Mirony, Ely* i t. d· i t. d. Jakie nazwiska ukrywają te pseudonymy, dziś powszechnie wiadomo. Trafnie więc postąpiła sobie i autorka *Pieśni i Piosenek*, przybrawszy tak w tej książce, jako też w napisanych przez siebie powieściach, nazwę *Maryi Szeligi*. Pancerz ten przecież nie na wiele jej się przydał i nie ochronił jej od dowcipno-skandalicznych pocisków, jakiemi w nią ugodził recenzent Gazety Polskiej, który aż w trzech numerach tego pisma (70, 71 i 72) wyciągał, naciągał i parodyował jej *Pieśni i Piosenki*, aby dowieść, że nie mają żadnej wartości *estetycznej*, a są gorszące pod względem *etycznym*.

Nim i my z kolei wypowiemy nasze zdanie o tych utworach Szeligi, powodowani jedynie względami słuszności, głośno protestujemy przeciwko owej recenzyi, której ton i złośliwe wnioski niegodne są poważnego i sumiennego krytyka. Tu najwyższym prawem powinna być bezstronność a raczej wszechstronność, na której polega jedynie *dobro ojczystej literatury*, nie zaś chwilowe usposobienie recenzenta. Pan H—el oświadcza na początku swojego artykułu, że nie zna niby autorki, nie wie, czy pseudonym okrywa kobietę, czy mężczyznę, upewniając przytém czytelnika, że tylko samym utworem zajmować się będzie bez względu na osobistość, która go wydała. Lubo czytelnika mało obchodzi, czy recenzent zna, lub nie, autora rozbieranego dzieła, zawsze jednak niemiłe czyni wrażenie to odgrywanie komedyi, gdyż w naszej poczciwej Warszawie tajemnica autorstwa długo utrzymać się nie może, i ludzie pióra jeśli nie osobiście, to z nazwiska znają się prawie wszyscy. Pan H—el wiedział dobrze, że autorem *Pieśni i Piosenek* jest młoda, od niedawnego czasu występująca na polu literackiem, kobieta, i skorzystał z tego w swoich złośliwych alluzyach. A chociaż zarzekł się, że osobistości dotykać nie będzie, wszelako nie dotrzymał przyrzeczenia i w każdym niemal wierszu dowcipkuje sobie z niej i ośmiesza ją.

Recenzent w poglądach swoich powstaje tu i owdzie na fałszywy kierunek, jaki postrzegać się daje w naszej poezyi, lecz tak ogólnikowo to czyni, że właściwie nie wiemy, o co mu chodzi. Przyznajemy, że zarzuty, jakie czyni autorce *Pieśni i piosenek*, co do owego kierunku, są może i słuszne, ale niedostatecznie wymotywowane, wypowiedziane, ot tak, od niechcenia, za to przeplatane tysiącznemi drwinkami, wyszydzającemi *muzę*, pod którą recenzent samą autorkę rozumie.

Pan H—el, którego poetyczne utwory nie są nam obce, a mówiąc nawiasem podziwialiśmy w nich zacną tendencyą i formę dość udatną, wcaleby sobie nie życzył zapewne, aby je komentowano w podobny sposób, jak to uczynił z poezyami Szeligi; wtedyby wszelkiemi sposobami nakazał recenzentowi poszanowanie dla swojego *ja*. Tak samo uczyniłby zapewne każdy autor gdyby osobistość jego zaczepiono, chociażby pismem swojem więcej zgorszył niewiniątek, niżeli autorka *Pieśni i Piosenek* dwoma czy trzema wierszami w *Urszuli Zmorskiej*. Czy osobistość Kraszewskiego atakowano z powodu *Orbeki*, a właściwie jego bohaterki Miry? Z kobietą wywalczającą sobie dopiero stanowisko w literaturze, i zostającą pod wpływami niezawsze pożądanemi, to tak wygodnie wojować, ale czy szlachetnie, to rzecz inna. Ton szyderczy i zestawione kilka jaskrawszych wierszy z poezyi Szeligi te miały następstwa, że pewne nasze humorystyczne pisemko, uwierzywszy na ślepo recenzyi p. H—la, obeszło się z autorką *Pieśni i Piosenek* w sposób więcej jak trywialny, któregoby recenzent nie ścierpiał, gdyby szło o jego siostrę lub żonę.

Rozpatrzmy się nieco w tych osławionych przez p. H—la *Pieśniach i Piosnkach*, które Marya Szeliga w świat puściła roku zeszłego.

A najprzód z przykrością zgodzić się musimy z recenzentem Gazety Polskiej, że tytuł książki, co najmniej jest niestosowny; autorka widocznie nie chciała użyć wyrazu greckiego *poezye*, i zastąpiła go dosłownem przetłomaczeniem, i źle uczyniła, bo *pieśniami* nazywamy niektóre utwory liryczne, a piosnkami tylko te, które rzeczywiście pod muzykę dają się podłożyć. Tymczasem w dwudziestu sześciu utworach składających książkę Maryi Szeligi, zaledwie *pieśń słowika*, drobnostka, mająca uwydatniać harmonią naśladowczą, a w części i *Dumka* do pieśni dałyby się zaliczyć. Za to mamy powieść wierszowaną (Urszula Zmorska), dwa obrazki dramatyczne (Ideał kobiety, Regina), jeden poemat, będący poetycznem opowiadaniem (Róże); reszta zaś mianowicie jedna z najlepszych poezyi, *Po skonie*, są nieokreślonej formy fantazyami, w których znajdujemy myśli i uczucia autorki wypowiedziane potocznym wierszem; odznaczają się one bądź lirycznym, bądź opisowym charakterem, ale pieśniami a tem mniej piosnkami nazwać ich nie można. Tytuł więc zły.

Ale mniejsza o tytuł, obaczmy rzecz główną: jaką była myśl przewodnia autorki, w jakim kierunku unosiły ją skrzydła poetyczne, czego pragnęła dla siebie i swoich, jakie ukochała ideały i jak je urzeczywistniała w słowie. Tu w istocie jednego stałego kierunku nie postrzegamy, owszem są one sobie nieraz przeciwne; widocznie utwory te były pisane wróżnych czasach, w różnych miejscach i pod różnemi wpływami. Świat rzeczywisty ze swojemi materyalnemi wymogami, świat idealny, do którego tęskni dusza wybrańców, to znów zwątpienie, żal i rozpacz prawie, a wszędzie ta walka młodego ducha, co idąc za nieodłącznym od wyższej natury ludzkiej popędem, zastanawia się, bada i szuka prawdy i usiłuje ją zdobyć, choćby za cenę własnego szczęścia: oto żywioły, które budziły natchnienie młodej poetki; niby zuchwałe orle, co probuje sił swoich, raz biegnie pod obłoki, do słońca, to znów rozpatruje się i gospodarzy na swoich rodzinnych skałach. Jestto zwykła kolej samodzielnych talentów; długo muszą one błąkać się i walczyć, zanim zdobędą tę pewność siebie, ten spokój wewnętrzny, który znamionują dojrzałość siły twórczej.

Czy autorka dobrze zrobiła ogłaszając drukiem młodzieńcze swe próby pisane pod wrażeniem chwilowem, w pośród owych walk fermentującego ducha, nie sądzimy, owszem jesteśmy zdania, że wiele wierszy, składających *Pieśni i Piosenki*, powinny były zostać w tece, zwłaszcza że nie widać w nich, aby autorka choćby samą formą artystyczną zawładnęła i swobodnie jej używać mogła. Już to przyznać potrzeba że dziś młode talenta spieszą się niesłychanie obdarzając czytelników często niedojrzałemi owocami swojej myśli lub wyobraźni. Niejeden z autorów już teraz żałuje owej pochopności, gdy sam może być kompetentnym sędzią swoich utworów.

(Dokończenie nastąpi).

KRÓTKIE WIADOMOŚCI
Z DZIEDZINY NAUK PRZYRODZONYCH
POSTĘPU ICH I ZASTOSOWANIA.

I.

Ważniejsze zastosowania elektryczności prądującej.

Kilka słów o elektryeznośći prądującej.— Stos Bunsena.— Skutki działania stosu.—*Telegraf elektryczny.*—Historya jego.—Pierwsze pomysły telegrafu elektrycznego.—Lesage, Soemmering, Schilling i Aleksander.—Odkrycie chwilowego namagnesowywania się żelaza, przez Arago.—Główna zasada budowy wszystkich telegrafów elektrycznych.—Telegraf Morsa czyli amerykański.—Telegraf igiełkowy angielski.—Telegraf zegarowy.—Telegraf drukujący. Telegraf podmorski.—Telegraf transatlantycki.—*Zegar elektryczny.—Galwanoplastyka.—Złocenie i posrebrzanie elektrochemiczne.—Oświetlenie elektryczne.*

Elektrycznością prądującą albo *galwanizmem*, nazywa się elektryczność w ciągłym ruchu będąca, tworząca się w stosach galwanicznych, zbierająca się na obu jego biegunach, a przy połączeniu tychże, tworząca *prąd* czyli *strumień elektryczny* nieustanny.

Nauka o elektryczności jest nauką czasów nowych; starożytni o niej nie mieli żadnego pojęcia, znali tylko własność bursztynu, przyciągania ciał lekkich gdy zostanie potarty. Pierwsze doświadczenia co do tej własności ciał niektórych, począł robić Wilhelm Gilbert, lekarz Elżbiety, królowej Angielskiej, a pierwszą machinę mogącą wydobywać elektryczność urządził Otto de Guericke, w Magdeburgu, w roku 1650. Nie mamy tu dość miejsca, aby wchodzić w szczegóły historyi i postępów tej nauki, powiemy tylko, że uczeni aż do 1791 r., o najważniejszym stanie elektryczności, to jest o prądach elektrycznych, nie mieli najmniejszego wyobrażenia. W tym-to dopiero czasie Galvani, profesor anatomii w Bolonii, robiąc doświadczenia nad nieżywemi żabami, odkrył ten nieznany stan elektryczności; co dało powód fizykowi włoskiemu Volta, do wynalezienia nowego przyrządu strumienie elektryczne wytwarzającego; przyrząd ten od jego nazwiska *stosem Volty* został nazwany. Składa się on z blaszek cynkowych i miedzianych, mających między sobą krążki sukienne zwilżone słoną lub okwaszoną wodą. Każda para takich krążków metalowych zowie się *elementem* albo *ogniwem stosu*. Im jest ich więcej, tém działanie stosu jest silniejsze. Zaprowadzono później różne ulepszenia i modyfikacye w tym przyrządzie, o których mówić nie będziemy, lecz musimy dać choć krótki opis *stosu Bunsena*, który jest bardzo silny i w laboratoryach fizycznych jako też rozlicznych zastosowaniach najpowszechniej używany.

Każdy *element* stosu Bunsena składa się z czterech sztuk, które jedne w drugie wchodzą: 1) naczynie fajansowe albo szklane zawierające wodę okwaszoną kwasem siarczanym; 2) blaszka cynkowa opatrzona u góry wązkim prętem miedzianym, mającym być konduktorem dla elektryczności odjemnej; 3) naczynie z gliny przepuszczalnej, którą gazy przenikać mogą a kwasem azotnym napełnione i 4) cylinder z węgla twardego, opatrzony u góry miedzianą obrączką z takimże drutem, mającym przeprowadzić elektryczność dodatnią. Jak tylko cynk i węgiel połączą się z sobą za pomocą konduktorów, przyrząd zaczyna być czynny. Połączona pewna ilość takich elementów stanowi *stos Bunsena*.

Tworzenie się elektryczności w stosach galwanicznych, nauka tłumaczy działaniem chemicznem kwasów na metale, czego skutkiem jest ciągłe wytwarzanie się elektryczności, dopóki trwa to działanie.

Skutki stosu galwanicznego: Przyrząd przez Voltę wynaleziony jest jednym z najcudowniejszych, jakie z rąk ludzkich wyszły, z powodu różnorodności i ilości skutków, jakim daje początek. Można na trzy kategorye je rozdzielić: 1) *skutki fizyczne*, 2) *skutki chemiczne* i 3) *skutki fizyologiczne*.

Jeśli się połączy dwa bieguny stosu w działaniu będącego, cienkim metalowym drutem, drut ten się rozpala, czerwienieje, topi się i niknie. Żadne ciało nie może się oprzeć potężnemu ciepłu przez stos Volty wytworzonemu, metale najmniej topliwe, topią się i ulatniają, kiedy pod postacią cienkich drutów umieści się je między biegunami stosu.

Przyrząd ten będący źródłem ciepła, jest także i źródłem światła. Jeśli na końcach biegunów stosu

umieści się dwa kawałki węgla ostro zakończone, na parę cali od siebie odległe; otrzymuje się łuk światła niezmiernie silnego blasku.

Stos Volty może służyć także jako narzędzie mechaniczne, przemieniając sztaby żelazne w potężne magnesy, przyciągające massy żelaza wielkiego ciężaru i tworząc tym sposobem działanie prawdziwie mechaniczne.

Produkowanie ciepła, światła i siły mechanicznej, oto są główne działania fizyczne tego przyrządu.

Stos Volty jest przytém nadzwyczaj potężnym działaczem rozkładów chemicznych. Jeżeli w roztwór jakiejbądź soli, naprzykład siarkanu natru (sól glauberska), zanurzymy końce dwóch biegunów stosu, ujrzymy oba składowe pierwiastki soli natychmiast się rozdzielające, pod wpływem rozkładowego działania elektryczności; kwas siarczany zbierze się przy biegunie dodatnim, a natr, zasada soli, przejdzie do bieguna odjemnego. Następnie i sama zasada soli się rozłoży na swe dwa pierwiastki: kwasoród i metal. Zanurzywszy w roztwór siarkanu miedzi bieguny stosu będącego w działaniu, kwas siarkowy się uwolni i zwróci się ku biegunowi dodatniemu, a okwas miedzi który będzie się zbierać u bieguna odjemnego, rozłoży się na swoje dwa pierwiastki: miedź i kwasoród. Kwasoród w postaci gazu wraz z kwasem ulatywać będzie u bieguna dodatniego, a przy odjemnym, metal, miedź, osadzać się będzie. Na tem działaniu stosu, jak to obaczemy później, polegają wszystkie operacye *galwanoplastyki.*

Stos Volty jest zatem pod względem skutków chemicznych, potężnym działaczem rozkładowym, gdyż żadne ciało złożone nie może się oprzeć jego sile.

Co zaś do fizyologicznych jego skutków, polegają one na wstrząśnieniach, jakie prąd elektryczny sprawia na rozmaite organa zwierząt i ludzi. Medycyna coraz bardziej w użycie je wprowadza i z nich korzysta.

Już od roku 1793 znakomici lekarze Larrey, Dupuytren i inni, poczęli robić doświadczenia nad muskularnemi ruchami w członkach świeżo amputowanych; Aldini siostrzeniec Galvaniego, za pomocą stosu ze stu elementów złożonego, w ciałach wołów i koni świeżo zabitych wywoływał życiowe ruchy niezmiernie energiczne. Niepodobieństwem jest wyliczać tysiączne doświadczenia, aczkolwiek bardzo ciekawe, jakie w tym względzie czynione były; wszelako aby dać wyobrażenie o szczególnych skutkach elektryczności na martwe ciała ludzkie, przytoczymy doświadczenie doktora Andrew Uve, w Glasgowie czynione nad ciałem zbójcy Clysdale. Człowiek ten ciało swoje sprzedał był doktorowi, który chciał poddać je działaniu stosu galwanicznego. Był-to mężczyzna lat trzydziestu, silny bardzo. Po dokonaniu egzekucyi, ciało jego jeszcze przez całą godzinę pozostawało na szubienicy, a dziesięć minut czasu zabrało przewiezienie go do amfiteatru uniwersyteckiego. Jeden z biegunów stosu został połączony ze szpikiem pacierzowym, a drugi z nerwem sciatycznym. Ogólny dreszcz przebiegł natychmiast po martwem ciele. Zastosowując odpowiednio bieguny stosu do muszkułów piersiowych trupa, przywrócono ruchy oddechowe; piersi regularnie wznosiły się i opadały [1]). Zaciśnięta pięść trupa roztworzyła się pomimo usiłowań operatorów, a palec zdawał się wskazywać osoby otaczające. Muszkuły twarzy ściągnęły się najokropniej, tak że aż postrach na przytomnych rzuciły; niejeden z nich uciekł nawet. Twarz powieszonego wyrażała z kolei przestrach, wściekłość i rozpacz.

Doktor Uve utrzymywał, że możnaby go było przywrócić do życia, gdyby kość pacierzowa przez powieszenie nie została nadwerężoną.

Ciepło zatem, światło, siła mechaniczna, rozkłady chemiczne, potężne działanie na organa istot żyjących, oto są skutki działania stosu galwanicznego, które czynią z niego przyrząd niezmiernie ważny w rozlicznych zastosowaniach.

Nadto, Oersted fizyk duński w 1820 roku odkrył jeszcze fakt ważny, który stał się źródłem nowej gałęzi nauki fizyki, *elektro-magnetyzmu*. Łącząc drutem bieguny stosu i drut ten zbliżając do igły magnesowej, Oersted przekonał się że igła ta zbacza z kierunku swego. Prądująca elektryczność działa zatem na ciała magnetyczne. Nauka na tej drodze szybkie zdobycze robić poczęła, i elektro-magnetyzm stał się źródłem odkrycia mnóstwa faktów które naukę o elektryczności znacznie rozszerzyły, dając w naszych czasach możność zastosowań równie cennych jak i rozlicznych.

Następnie więc rozpatrywać będziemy najgłówniejsze z tych zastosowań, które obecnie w powszechne użycie już weszły, a mianowicie: *telegrafia elektryczna, galwanoplastyka, złocenie elektro-chemiczne i oświetlenie elektryczne.* *H. K.*

((d. c. n.).

[1]) Nie należy wszakże z podobnych doświadczeń wyprowadzać wniosku, iżby wstrząśnienia galwaniczne były czem innem, jak tylko mechanicznem wywołaniem działania w nerwach i muszkułach, które po ustaniu życia, przez pewien czas, dopóki rozkład ich nie nastąpi, zdolność ściągania się zachowują; a ztąd sztucznie do ruchu powołane, pozór życia przedstawiają, w ciele które już duch opuścił.

SZKIC
LITERATURY ROSSYJSKIEJ.
(Ustęp z dzieła Konstantego Petrow p. t. Obraz literatury rossyjskiej).

III.

WIEK XVI.

Rossya północna i wschodnia.

Jakkolwiek wpływ duchowieństwa na massy narodu był bardzo ograniczony, nie można przecież zaprzeczyć że literatura cerkiewna obudziła w ludziach światowych zamiłowanie w czytaniu. Tej chęci czytania nie mogły już zadowolić dzieła religijne, po większej części potępiające, lub krytykujące przynajmniej, wszystko, co samo tylko świeckie sprawy miało na względzie. Światowi czytelnicy potrzebowali dzieł mogących zadowolić wrodzone dążności ich intelligencyi, uczuć i wyobraźni. Ścisłe religijne wychowanie ówczesnego społeczeństwa, skierowało umysły na drogę badań religijnych, które jednak przedsiębrane przez pisarzy świeckich, odznaczających się większą niezależnością poglądu i wyobraźni, stawały się niejako obrazami rzeczywistego życia.

Do takich utworów zaliczają się dzieła zwane *Apokryfami* lub noszące tytuł *Historyj*, po większej części tłómaczone z obcych języków; rozchodziły się one w wielkiej liczbie egzemplarzy i wkrótce stały się ulubionem czytaniem ogółu. Jakkolwiek wszystkie te dzieła były czerpane z obcych piśmiennictw, jednak wlano w nie nieco ducha ruskiego i umiano napiętnować pewną oryginalnością, przez co nabyły prawa zajęcia miejsca w dziejach literatury rossyjskiej.

Apokryfy są-to dzieła zajmujące się zawsze jakimś przedmiotem religijnym, ale przedstawiają go w duchu przeciwnym ogólnym zasadom kościoła, i dla tego synody potępiły je jako heretyckie. Można je podzielić na dwa rodzaje: jedne traktują przedmioty biblijne, do takich należą: *Testament Adama, Prośba Seta; Enoch, Testament Mojżesza, Opis męczeństwa Dziewicy* i t. d., drugie znowu są-to zbiory zabobonów ludowych i rozmaitych przepowiedni, jak np. *Astronomia, Czarownik, Księga grzmotów, Księga błyskawic, Czarnoksiężnik, Lunatyk* i t. p.

Rzecz prosta, że duchowieństwo musiało potępiać te utwory, w których dogmata religijne są fałszywie tłómaczone, a tradycye prawowierne przekręcone i sfałszowane fantastycznym wykładem. W następstwie czytania tych dzieł wyrobiły się w umysłach przekonania chrześciańskie, skażone pogańskimi zabobonami, lecz pod względem historyi i literatury, apokryfy mogły w zupełności zaspokoić potrzeby umysłu i dusz owoczesnego społeczeństwa. Czytano je bardzo długo z wielkiem zamiłowaniem, i zaczęły iść w zaniedbanie, dopiero w XVIII wieku, gdy rozwój umysłowy dozwalał szukać i podawać wyższe i cenniejsze wiadomości.

Historye nie mają nic wspólnego z apokryfami; treść ich czerpana jest z codziennego życia ludu. Najwięcej były rozpowszechnione: *Historya Aleksandra Macedońskiego, Legendy Solomona* i kilka bajek *z Tysiąc nocy i jedna*. Były-to dosłowne przekłady. Mało oświecony ogół uganiał się za cudownemi podróżami i odkryciami Aleksandra, jego spotykaniami się z Cyklopami, Lestrygonami i innemi dziwacznemi ludami. W legendach o Salomonie podobały się bardzo przytaczane zagadki i allegorye, mające dowieść mądrości tego króla, lub zbudzić jakieś pojęcia w umyśle czytelnika. Bajki te tak były rozchwytywane, że wydawano je w osobnych zbiorach a nawet dodawano do innych dzieł nadzwyczaj rozpowszechnionych, jak np. do poematu o *Księdze Gołębiej.*

Zastanawiając się nad tym drugim okresem starożytnej literatury rossyjskiej, widzimy, że rozwój jej w ciągu XVI stulecia ogranicza się do Rossyi południowej, zachodniej i moskiewskiej. *(D. c. n.)*

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani *Z. P.* Rs. 1 kop. 50 wręczono p. Bulińskiej, jako kalece nieuleczonej. Mieszkała przy rogu ulicy Smoczej i Nowolipki.

P. *Maryi B. Przyjaciela Dzieci* z roku 1872 i 1873 mamy kompletne roczniki po rs. 3 i 4 stosownie do oprawy. Z roku 1871 są tylko trzy-kwartałowe kompleta, pierwszy kwartał zupełnie wyczerpnięty. Na opłatę pocztową dołącza się 20 kop. za tom.

Opis ryciny kolorowanej.

Fig. 1. Ubranie letnie Spódnica od sukni z materyjału wełnianego, koloru piaskowego w pasy, podpięta jest z tyłu w bufę, szeroką szarfą brązową z ciężkiego jedwabnego rypsu, z przodu aż do podwójnych ranwersów dane jest szerokie plisowanie. Przody stanika ukrojone są w jednym ciągu wraz z częścią tuniki, dodaną z przodu. Rękawy otwarte do łokcia mają bufę przeszytą plisą i plisowaną falbanką.

Plisy, plisowanie i guziki pokryte na foremkach dopełniają przybrania; pod szyją suta kreza z materyjału sukni z ranwersami wyłożonemi na stanik. Okrągły ażurowy kapelusz z riuszą i podszyciem z materyi różowej, przybrany czarną aksamitką i gałązką różowych kwiatów.

Fig. 2 Letnie ubranie. Spódnica nie sięgająca ziemi, z alpagi koloru pawiego (paon), bareżu, (sultane), kretonu lub t. p. przybrana falbankami i szeroką bufą przemarszczoną kilkakrotnie, dopełniona jest vêtement z materyjału w kolorze piaskowym w pasy koloru sukni. Kokardy przy vêtement są z wstążki dwojakiej niebieskawo-zielonej i piaskowej. Suta kreza muślinowa dopełnia wykładanego kołnierzyka przy podłużnym wykroju szyi. Kapelusz biały bastowy, przybrany różami, piórem i wstążką, w odpowiednim kolorze.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

Druk E. Skiwskiego, w Warszawie, Elektoralna Nr 758 (28 nowy). Дозволено Цензурою. Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

Dodatek.